Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 15. Maja 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 20.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

SPOTKANIE

OPOWIADANIE

EDMUNDA de AMICIS.

Przekład z Włoskiego

Kochany***

Wytłómaczę ci, dla czego tak *dziwną miałem minę*, gdyśmy się parę dni temu spotkali na stacji w A., nie przytrafiła mi się przygoda żadna, a raczej, jeśli to można nazwać »zdarzeniem«, odnosi się nie do faktu, lecz sięga w dziedzinę uczucia. Czy pamiętasz w *Soirée perdue* Musseta tę piękną postać, siedzącą w teatrze, która potem znikła przy wyjściu? Opowiem ci coś w podobnym rodzaju.

Wyjechawszy rano z T., wszedłem przypadkiem do wagonu, w którym się już znajdowała jakaś dama, siedząca z odwróconą od drzwi wchodowych twarzą. — Skoro usłyszała, że wchodzę, rzuciła na mnie przelotne spojrzenie i odwróciła się znowu. Była to osoba lat około czterdziestu, blada, szczupła, przywiędła, ubrana z prostotą kobiety wyższego tonu, zdradzającą raczej przyzwyczajenie, niż staranie o elegancję. Pociąg ruszył, prócz nas nikogo nie było w wagonie.

Gdym czekał aż się ku mnie zwróci, by się jej przypatrzeć lepiej, zrobiła ruch ręką, poprawiając sobie włosy; ruch, który najprzód uderzył mnie, a po chwili wywołał wspomnienie, które mię przejęło najwyższem zdumieniem. Miałem laskę w ręku, upuściłem ją. Dama się obejrzała. Skorom się w nią wpatrzył — serce zabiło mi silnie. Tak, nie omyliłem się, to ona. Spostrzegłszy, że okazałem, iż ją znam, od tej chwili spoglądała na mnie od czasu do czasu, jakby się spodziewała, że się do niej odezwę; mogłem się więc jej przypatrzyć i poznać ją ostatecznie. Boże wielki! Nie myślałbym nigdy, aby się kto mógł tak zmienić w równie krótkim czasie. Wprawdzie nie widziałem jej od lat czternastu, lecz wtedy — pamiętam dobrze, nie mogła mieć więcej nad lat dwadzieścia; świeża, kwitnąca, pełna życia, była jedną z najpiękniejszych kobiet w małem miasteczku G., gdzie i ja wówczas mieszkałem; a teraz trzydzieści parę lat mająca, zdawała się być starszą nie o lat czternaście, lecz o jakie trzydzieści! Zaledwie ją poznać było można, nie tyle z rysów, ile z wyrazu w oczach, słodkiego i smutnego razem, który się zdawał być przeczuciem nieszczęścia w życiu, a był jednym z największych jej wdzięków. — Wychudła, miała zmarszczki na czole, nieco siwych włosów na skroni, a ręce suche i jakby woskowe. Cóż się jej przytrafiło w życiu? Nie wiedziałem o niczem i dziś zaledwie mam o tem słabe i niepewne pojęcie. Nie miała jeszcze lat ośmnastu, gdy owdowiała, a we dwa lata później wyszła powtórnie za mąż. Właśnie w tym czasie, gdy się drugi mąż starał o nią, poznałem ją — z widzenia tylko — i zdaleka. Dowiedziałem się później, że był to człowiek gwałtowny i złego prowadzenia się, i że smutne potem było jej życie; lecz ani przypuścić mogłem, że cierpiała tak wiele i zmienić się mogła do niepoznania. Na jej twarzy wyryła się cała historja zawodów, ofiar i udręczeń. Spokój, piękność, młodość znikły niepowrotnie. Czternaście lat zniszczyło je do szczętu. Zostało tylko to, czego stracić nie mogła: wdzięk i szlachetny spokój w całej postawie, świadczący o życiu poczciwem, rezygnacji i wzniosłości uczuć.

Skoro minęła pierwsza chwila zdumienia i wrażenie smutne, zdawało się, że na tem wszystko skończyć się powinno. Lecz nie bez przyczyny dla mnie ta zmiana w tej kobiecie szczególnie była bolesną, budząc dla niej nowe współczucie, jakąś troskliwość wyłączną, coś, czego nazwać nie umiem; czułem ogromną chęć okrycia pocałunkami tę biedną, wychudłą rączkę; pragnąłem — czy ja wiem czego? aby na nią napadł zbójca i żebym w jej obronie otrzymał raz — nie powiem w piersi — lecz przynajmniej w ramię lub rękę i miał prawo powiedzieć, że dla niej płynęła krew moja. Nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy. Gdym się spotkał z jej wzrokiem, imię jej znalazło się na moich ustach. Nie mogłem się uspokoić; potrzebowałem odezwać się do niej, a brakło mi odwagi. Spostrzegła mój stan, zdawała się nim być zdziwioną i zaniepokojoną. Wtedy czując, że mi nie wypada milczeć dłużej, ponieważ należało mi przynajmniej usprawiedliwić się przed nią z mego niewłaściwego znalezienia się, ośmieliłem się nareszcie i spytałem ze wzruszeniem:

— Przebacz mi szanowna pani... Jesteś siniorą N.? — wymieniłem nazwisko jej drugiego męża.

Nieśmiałość moja i fakt, że wiedziałem, jak się nazywa, uspokoiły ją zupełnie. Odpowiedziała mi twierdząco i z większą ciekawością przypatrywać mi się zaczęła.

— Pozwoliłem sobie zadać to pytanie — rzekłem — ponieważ nie byłem tego pewien... gdyż od czternastu lat nie miałem szczęścia widzieć pani.

Zarumieniła się; przyszło jej zapewne na myśl, jak wielką zmianę znaleść w niej musiałem, spojrzała na mnie uważniej, starając się poznać mnie i chcąc powiedzieć niezawodnie, że mnie sobie nie przypomina.

— Nie możesz pani wiedzieć, kim jestem, ani pamiętać, żeś mię widziała. Pierwszy raz mam zaszczyt mówić z panią. Znałem panią z widzenia w miasteczku

G. w 1860 roku. — Miałem wówczas lat czternaście, chodziłem do gimnazjum. Pani byłaś wdową. Główne wejście do domu pani było z ulicy Olmi, lecz chodziłaś zawsze małemi drzwiami z bocznej uliczki. Bywałaś co wieczór w teatrze, w loży pierwszego piętra pod numerem dziewiątym na prawo. Ulubionym strojem pani była suknia liliowa jedwabna. Wieczorem pierwszego stycznia upuściłaś bransoletę platynową. Miałaś wachlarz z kości słoniowej, a prawą rękę opierałaś zwykle na poręczy loży.

Siniora zdumiona, zamyśliła się na chwilę, a potem zawołała z uśmiechem:

— Prawda!... Lecz jakżeś pan mógł spamiętać te wszystkie drobnostki?

— Czy pani chcesz, bym jej to szczerze powiedział? — spytałem.

— Proszę pana oto — odpowiedziała, patrząc na mnie z widocznem zaciekawieniem.

— A czy mi pani zechcesz przyrzec naprzód, że dasz wiarę, iż cokolwiek bądź powiem, nie będzie w tem ani jednego słowa, któreby ubliżyć mogło osobie, godnej jak pani, najwyższego szacunku?

Zdumiona, milczała przez chwilę, wpatrując się we mnie, potem rzekła z uśmiechem:

— Nie mogłabym wątpić o tem. Lecz o cóż panu chodzi?

— Odwagi!... Trzeba się raz na nią zdobyć... Jesteś pani pierwszą kobietą, którą kochałem w życiu. Skończyłem.

Zarumieniła się, roześmiała i przypatrzywszy mi się jeszcze, odpowiedziała:

— Niepodobna!

— Niepodobna? — rzekłem — owszem; jest to prawda taka, jak to, że słońce świeci, droga pani. Zrób mi tę łaskę i posłuchaj. Tak żywo pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Ujrzałem cię po raz pierwszy w teatrze i prosiłem ojca, aby mi zaabonował krzesło w parterze, jedynie w tym celu, abym cię mógł widywać. Znajdowałem się zawsze w ostatnim rzędzie, naprzeciw loży pani. Z razu była to tylko sympatja, czy ja wiem co? uwielbienie. Potem, powoli, zapaliło mi się serce i głowa. Przebacz pani, że się wyrażam w taki sposób, nie potrafiłbym oddać tego inaczej... Skończyło się na tem, żem się w pani zakochał szalenie... Przysięgam, że mówię prawdę... Nie jestem w stanie wyrazić do jakiej potęgi doszło to uczucie. Jeśliby mi kto przeszkodził pójść wieczorem do teatru, doprowadziłby mnie do rozpaczy. Nieraz po pół godziny stałem zapatrzony, nieruchomy, skamieniały, możnaby mnie było odfotografować sto razy. Dziwnem mi się to jednak zdaje, żeś pani tego nigdy nie spostrzegła. Nie uszło to uwagi innych. Żebyś pani wiedziała, co się działo ze mną biednym. Śmiejesz się pani... Gdyś wchodziła do loży, zdawało mi się, że szelest twej sukni sprawiał wielki szmer, skutkiem którego twarze wszystkich będących w teatrze zwracały się ku mnie; czułem, że umieram ze wstydu. Nie uszedł mej uwagi żaden ruch twej głowy, gra rysów twarzy, spojrzenie, najmniejsze poruszenie ręki, opartej na balustradzie loży. Gdy przypadkiem wzrok twój zwracał się w moją stronę, krew mi się rzucała do głowy. Trudno dać temu wiarę. Gdybyś pani wiedziała, jak namiętnemi słowy przemawiałem do ciebie, wpatrując się w ciebie w tym czasie, gdy przegrywała orkiestra. Ileż razy pragnąłem gorąco, aby się ogień wszczął w teatrze, bylebym cię mógł ratować, z narażeniem własnego życia! Porywała mnie szalona wściekłość, gdy wojskowi wchodzili do loży pani, i brzegiem swego kepi dotykali prawie twego wachlarza. Jakżem ich nienawidził. Radbym był wypoliczkować wszystkich tych ludzi, którzy przychodzili odwiedzić panią. Pewnego wieczoru wygwizdałem tenora, który się ośmielił skierować lornetę do loży pani. Wieczory moje były jedną serją wybuchów zazdrości, wstydu, wzruszeń najżywszych, po których nazajutrz następowało tyleż omyłek ortograficznych w wypracowaniach łacińskich. Rozumiesz pani? Nie przypuszczałaś ani na chwilkę, że w liczbie tylu wielbicieli, którzy cię otaczali, najgorętszym był biedny uczeń z gimnazjum, któremu dopiero po czternastu latach, los miał zesłać zręczność przemówienia do pani.

Podczas tej paplaniny mojej, seniora to się uśmiechała, to rumieniła, niekiedy marszczyła brwi; gdym zamilkł, rozśmiała się głośniej jeszcze i zakryła twarz wachlarzem. Po chwili spytała mnie z żywą ciekawością:

— Czy pan to wszystko mówisz na serjo?

— Na serjo? — powtórzyłem — powiem pani więcej jeszcze. Czy mi pani pozwoli? Wyznaję, że niezwykłą przyjemność budzą mi wspomnienia tych najburzliwszych czasów mej wczesnej młodości. do tego już doszło, że gdy w domu rodziców moich ktoś wymówił imię pani, uciekałem do drugiego pokoju, zarumieniony jak piwonia. Uczyłem się w małym pokoiku, wraz ze starszym moim bratem, który mi powtarzał od czasu do czasu: Przestań-że już raz wzdychać, jesteś jak ten zakochany z Metastaziusza. — Nie mogłem się uczyć, byłem ciągle roztargniony. Raz w nocy słyszałem, jak ojciec z cicha mówił do matki: — Czyś spostrzegła jaki on dziwny od niejakiego czasu? Co mu się stało? — Raz profesor włoskiego języka zadał nam wypracowanie, dozwalając każdemu wybrać temat, jaki mu się podoba; na mojem był tytuł »Zakochany«, a tyle w nim było niedorzeczności, że się stałem pośmiewiskiem całej szkoły i myślałem, że umrę ze wstydu. Wyobraź sobie pani, pomiędzy innemi było tam następujące zdanie: Głowa zakochanego jest to urna łez i westchnień pełna... Potem już rumieniłem się przechodząc koło domu pani, spotykając tych, których widywałem w twej loży, słysząc jakieś słowo, które mi z daleka o tobie przypominało. Jeśli mi się zdarzyło ujrzeć panią na końcu ulicy, uciekałem co tchu i starałem się ukryć, jeśli nie było gdzie uciec, wchodziłem do sklepu lub cukierni, albo wracałem na powrót. Było to dla mnie coś przerażającego. A co wieczór szedłem do teatru i ogień trawiący mnie zwiększał się codziennie. Przychodziło mi na myśl posłać list do pani, napisać coś węglem na ścianie twojej loży, rzucić na ciebie z dachu grad kwiatów, przebrać się i nosić drzewo do twego domu. W końcu, czy chcesz pani bym się wyspowiadał wszystkiego? Powinnaś mi być wdzięczną, gdyż nieraz wieczorem, wracając z teatru wzruszony cały, rozegzaltowany, odchodzący prawie od zmysłów, modliłem się za panią tak gorąco, że... jeślibym cząstkę tej gorliwości był zwrócił na przygotowanie się do egzaminów, nie zostałbym na drugi rok w klasie.

Siniora śmiała się znowu z za wachlarza i rzekła:

— Że też ja nigdy nie domyślałam się niczego! Dziwna rzecz!... Lecz czy to tylko szczera prawda?

I uśmiechając się, jeśli tak rzecz można z poważniejszą już i mniej pustą ciekawością spytała:

— Cóż dalej? — przygotowując się widocznie do słuchania z uwagą.

— Dalej — mówiłem nastąpiły najgorsze czasy. Przy końcu karnawału do loży pani zaczął uczęszczać ten, który później został pani mężem. Czy uwierzysz sinioro? Dziś jeszcze, po tylu latach, żal mi samego siebie, gdy wspominam, ile wówczas cierpiałem. Gdy po raz pierwszy usłyszałem wymówione przy mnie w teatrze słowa: — Zdaje się, że tam się na coś zanosi! — Podobno układa się tam małżeństwo! etc... Zdawało mi się, chociaż byłem tylko chłopcem jeszcze, że mi krew lodowacieje w żyłach. Każdy uśmiech, każde słowo pomiędzy wami z cicha zamienione, było mi jakby pchnięcie sztyletu w serce. Alboż ja wiem, co mi się roiło? Zdawało mi się, że zostałem zdradzony. Pani... przebaczyłem. Jego... muszę już wyznać prawdę całą... nienawidziłem wszystkiemi siłami duszy. Widziałem go wszędzie. Śniłem o nim, stał się moją zmorą. Chciałem go wyzwać. Patrzyłem nań krzywo. Pewnego dnia spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy; zatrzymał się i spojrzał na mnie; spuściłem oczy i odszedłem na stronę. Na koniec rozeszła się wieść o bliskiem zamęściu pani. Byłem w rozpaczy. Nie wyobrazisz sobie pani, jakie myśli dręczyły mnie wtedy. Przychodziła mi chętka stanąć w jakiem oknie od ulicy, po której on przechodził i rozmiażdżyć mu głowę wielkim kamieniem. To znowu gotów byłem rzucić się do nóg twych, sinioro, i zaklinać cię imieniem Boga, abyś go nie zaślubiała, jeśli nie chcesz mej śmierci. Chciałem zostać księdzem, lub uciec do Szwajcarji, stać się jednym z tych straszliwych ludzi, jak w romansach, którzy na marmurowej twarzy mają wieczny uśmiech szatański. Żegnaj łacino! Żegnajcie nauki! Spędzałem godziny całe na podwórzu dręcząc robaczki świętojańskie i glisty; raz skaleczyłem sobie silnie rękę nożyczkami i o mało nie zemdlałem na widok tryskającej krwi; innym razem wziąłem potajemnie butelkę wina ze spiżarni i na strychu, gdzie był skład starych gratów, spiłem się w ciemności, jak parobek.

Nadszedł wreszcie ten dzień straszliwy... Wieczorem, oddział gwardji narodowej przygrywał pod oknami pani. W naszym domu słychać było muzykę. Byłem upokorzony, przybity, zrozpaczony. Miałem ochotę odebrać sobie życie. Zaszedłem do ogrodu ze sznurem w ręku i zbliżyłem się do drzewa... lecz zabrakło mi męztwa. Wtedy zacząłem płakać, rzuciłem się na ziemię i zostawałem tak cały wieczór, w ciemności, skulony jak pies, ze sznurkiem w ręku, myśląc o pani, od czasu do czasu wołając cię po imieniu, aż muzyka grać przestała, a ja pobiegłem do domu i rzuciłem się matce na szyję, wyznając jej wszystko. Matka zdziwiła się bardzo, śmiała się, pocieszała mnie, zaprowadziła mnie do łóżka, z uśmiechem powiedziała mi: dobra noc i przez parę dni następnych przypatrywała mi się uważnie, potem całowała mnie, uśmiechając się niekiedy. Od dnia, w którym pani wyjechałaś z mężem, nie miałem szczęścia widzieć cię więcej. Taką jest historja mojej miłości, droga sinioro. Czekałem czternaście lat, nim mi się zdarzyła sposobność opowiedzieć pani; spodziewam się, że nie zasłużyłem na naganę za zbytni pośpiech. Jeślibyś mię pani zapytać chciała, w jakim celu to opowiedziałem, szczerze mówię, że nie potrafiłbym odpowiedzieć na to pytanie. Faktem jest, że pragnąłem zawsze spotkać panią kiedykolwiek i wyznać jej wszystko; i dziś, czyniąc zadość temu pragnieniu, doznałem słodkiego wzruszenia, połączonego z najgłębszym szacunkiem i wdzięcznością.

Tu siniora, słuchając mnie z coraz żywszą uwagą, zasłoniła sobie twarz, lecz bez śmiechu; potem wymówiła nieco wzruszonym głosem, uśmiechając się z lekka:

— Powiedziałeś mi pan... bardzo wiele pięknych rzeczy... powinnam ci podziękować...

Potem chciała się roześmiać, lecz śmiech był nieszczery, wymuszony; — w końcu znowu zakryła twarz wachlarzem i siedziała tak czas jakiś. — Nie wiem, co myślała wtedy. Czy moje opowiadanie wywołało w jej pamięci żywe wspomnienie tych dni, kiedy była szczęśliwą, a wierzyła w lepszą jeszcze przyszłość i obudziło gorzkie uczucie zawodu, który ją spotkał; czy też ulatując myślą w te czasy, gdy mogła budzić tak namiętne i gorące uczucia, rozważa teraz boleśnie, że młodość jej i piękność znikła przedwcześnie; a może powieść o mej tajemnicy i głębokiej miłości młodzieńczej przywiodła jej na pamięć smutny fakt, że jej nie kochał ten, komu oddała życie; dość, że gdy opuściła wachlarz — zdumiałem się, widząc twarz jej łzami zalaną.

— Sinioro! — zawołałem z żywością, biorąc jej rękę. — Cóż to znaczy?... Obudziłem jakieś bolesne wspomnienie? Przebacz pani... byłem nieroztropnym... nie daruję sobie tego... Przebacz, sinioro!

Dała mi znak przeczący, chcąc dać poznać że nie moja w tem wina; potem się uśmiechnęła i otarła sobie oczy ręką zostawiając drugą w mojej dłoni!

Tu pociąg zbliżył się do stacji, na której wysiąść miałem.

— Sinioro! — rzekłem w chwili, gdym miał wychodzić — nie odmawiaj mi jednej łaski... pozwól pocałować rękę, którą trzymałaś opartą na balustradzie loży.

Podała mi ją, przycisnąłem ją do ust trzy razy i spojrzawszy na tę kobietę, ujrzałem w jej oczach i całej postaci tak miły wyraz dobroci, smutku i rezygnacji, a przytem tyle słodyczy i wdzięku, żem na chwilę stanął zdumiony i wpatrzywszy się w nią, zawołałem szczerze z całego serca:

— Jesteś pani zawsze piękną!

— Nie prawda!—odpowiedziała zmięszana, uśmiechając się i zrobiła przeczący znak wachlarzem.

Odchodząc, obróciłem się jeszcze i głową dałem znak potwierdzający.

— Nie — powtórzyła znowu wachlarzem, i usunęła się od okna.

Pociąg ruszył i w tejże chwili w oknie ukazała się ręka z wachlarzem, oparta jak niegdyś o balustradę loży.

Twarzy jej nie ujrzałem.

Śledziłem wzrokiem za tą ręką.

Było to pożegnanie — był to obraz jej młodości i moich lat młodzieńczych — wspomnienie przeszłości, wyraz wdzięczności — coś dziecinnego i wdzięcznego zarazem; była to jakby ręka zmarłej, która na chwilę nabrała życia, aby po raz ostatni pożegnać. Addio! Addio! — Żegnaj drogi cieniu! droga pamiątko moja!... Byłem jeszcze cały pod wpływem tego wrażenia... gdyś mię spotkał na stacji w A.

Urywek ze wspomnień

MICHAŁA MODZELEWSKIEGO

mających wejść w «Zbiór Pamiętników do historji powstania z r. 1830—1831», układany staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych, na uczczenie pięćdziesięcioletniej rocznicy listopadowej.

Bitwa pod Ostrołęką.

(Dokończenie)

Między godziną 3. a 4. po południu dywizja nasza (V) poszła do szturmu; wszystko zmiatała przed sobą, ale i Moskale w rozpaczliwej walce bronili się dobrze. Tu dostał się do niewoli, gdy klacz pod nim ubito, pułkownik Krasicki z Poznańskiego, dowódca 1ej brygady Vej dywizji. Ale bój ten trwał już krótko. Naczelny wódz bowiem widząc, że artylerja nasza milczy, że piechota zdziesiątkowana potrzebuje się zreorganizować, a na to czasu ani miejsca nie było, postanowił użyć jazdy, chcąc koniecznie zniszczyć lub wyprzeć Moskali na drugi brzeg Narwi, co było fizycznem niepodobieństwem. Naczelny wodz wysłał najprzód do ataku 2. pułk ułanów, bardzo dobrze reputowany w armii, którym dowodził M. Mycielski; przy pułku od prawego skrzydła jechał generał brygady Kicki. Widząc, co się dzieje miał Kicki zauważyć: »*Le Général en chef veut nous faire passer tous par les armes*«. — Miały to być ostatnie jego słowa, gdy bowiem naczelny wódz rozwijał pułk szwadronami, Kicki dostał w bok kontuzję od kuli działowej, wskutek czego wkróce umarł.

Szarże jazdy były prawie niemożliwe. Moskale zaraz z początku bitwy wprowadzili na tę stronę kilka pułków konnicy, lecz widząc, że się one tu na nic nie przydadzą, wycofali je z boju. My łatwiej moglibyśmy użyć jazdy, bo mieliśmy obszerniejsze pole, ale w niektórych miejscach jeszcze nie wysechł grunt po zalewach wiosennych, przeto dla jazdy był prawie niedostępnym. A jednak pomimo tych trudności szarży dokonano; pułk ułanów stracił atoli kilkadziesiąt ludzi! Mimo to utrzymał się zapał w naszej armii. Czarnomski, dowódca 2 pułku strzelców konnych, równie sławnego jak 4ty piechoty lub 2gi ułanów—widząc, co się dzieje, przypada do Skrzyneckiego i rzecze, „Naczelny wodzu! nie bywałem u Honoratki, ale pozwól mi uderzyć z pułkiem na tych szelmów Moskali, a zobaczysz, co dokażemy!“. Naczelny wódz pozwolił; szturm jazdy był dla Moskali tak okropnym, jak pułków piechoty, ale mimo to nie dało się wszystkich w Narwi potopić, lub przerzucić na drugi brzeg rzeki.

Odtąd zaczęła się z naszej strony tyralierka; mnóstwo ochotniczych oddziałów tyralierskich rozsypało się po palach i w krzakach, nie dopuszczając Moskalom rozwinąć się i naprzód posunąć. Walka w ten sposób prowadzona, trwała aż do zmierzchu.

Skrzynecki, po ostatniej szarży pod swojem dowództwem wykonanej, zsiadł z konia i stanął nad brzegiem lasu, po prawej stronie placu boju; koło niego nie było nikogo z licznego jego sztabu. Tuż obok stał na koniu generał dywizji Henryk Kamiński i Horain z kwatermistrzowstwa, dalej nieco kapitan Jabłkowski adjutant polowy, Jaroszyński podporucznik z jazdy, przykomenderowany do naszego sztabu i ja, wreszcie ze 2 kolegów, których nazwisk już nie pamiętam. Staliśmy tu przez czas dłuższy, przypatrując się biegowi bitwy, powoli rozjechali się koledzy tak, że przy Skrzyneckim pozostało tylko nas trzech: Horain, Jaroszyński i ja. Tymczasem wieczór się zbliżał bez rozstrzygnięcia walki, gdy wtem przd zachodem słońca, możę około godziny 7, galopem przypada prześliczny oficer na anglezowanym kasztanowatym koniu i salutując melduje naczelnemu wodzowi, że przybył ze swoją baterją. Był to pułkownik Bem. Na to odpowiada naczelny wódz: »*C'est bien, en vous est nôtre dernière espoire!*« Bem odsalutował i odjechał galopem do swej baterji. Spojrzałem po za siebie; niedaleko rozwinięta stanęła na wyniosłości ta prześliczna konna baterja, dobrze oświecona zachodzącem słońcem.

Wtedy odjechałem z mego stanowiska, aby nakłonić oficerów, rozsypanych na placu boju, do zbierania swoich żołnierzy. Nie było to na miejscu, trzeba mi było bowiem pozostać koło generała; on jednak, widząc co czynię, nie zganił mi tego, ani nie powstrzymał.

Przejeżdżając po placu boju, dojechałem do brzegu rzeczki Omulewa, w kierunki wsi Kruki, gdzie widziałem silne oddziały piechoty naszej, a mianowicie grenadjerów; tu również nakłaniałem oficerów do wystąpienia w odpowiednich kolumnach, nic mi jednak nie odpowiedzieli; widocznem zatem było, że brak artylerji zniechęcił ich do dalszej walki. Tutaj widziałem ostatni raz Arsena Kwileckiego, dobrego mego znajomego z jazdy Poznańskiej; powiedział mi, że z Dem-

*

bińskim idzie w parze na Litwę. Widać z tego, że zamiar ten był już w ciągu dnia powziętym, a nie, jak dowiedzieliśmy się, z raportu do Rady narodowej, na radzie wojennej po ukończeniu walki. Trzeba też wyznać, że cały raport naczelnego wodza o bitwie ostrołęckiej jest fałszywym, podobnie jak fałszywem było także sprawozdanie Dybicza.

Kiedy rozmawiałem z Kwileckim, wzmógł się znacznie huk dział; nie dziwiło nas to zrazu, ale niebawem przybywa podpułkownik Jastrzębski z kimś drugim i powiada, że generał Henryk Kamiński ranny, że Bemowi rozkazano podsunąć się ze swą baterją ku mostowi, zająć tamże pozycję i obsypać Moskali kartaczami. Przypadam natychmiast do generała, przy którym był jeszcze tylko Jaroszyński i wypytuję go, jakim sposobem kula działowa rekoszetując mogła generałowi, siedzącemu na koniu, strzaskać oba piszczele w nogach? Odpowiedział mi na to, podczas gdy Kamińskiego na karabinach z placu boju odnosili żołnierze, że tenże, strudzony całodzienną walką, na chwilę odjechał od naczelnego wodza, a gdy dopiero po pewnym przeciągu czasu powrócił, zaczął mu Skrzynecki robić wyrzuty, że odjeżdża od niego z pola bitwy. Generał, dotknięty tem do żywego, zsiadł z konia i pieszo stanął obok naczelnego wodza. Wtem spostrzegł ruch na moście i zobaczył, że tłum oficerów moskiewskich przejeżdża na nasz brzeg; kazał zatem galopować podsunąć się Bemowi, zająć pozycją i dać ognia kartaczami. Bem w jednej chwili spełnił rozkaz i tak wziął sołdatów kartaczami w obroty, że wszyscy zmykali, gdzie tylko mogli. Dybicz, uważając bitwę za wygraną, chciał nam ostatni cios wymierzyć i w tym celu jechał przez most ze sztabem i rezerwą. Przyjęty jednak od naszych należycie, zemknął z innymi.

Wówczas to wszystkie baterje moskiewskie poczęły odpowiadać Bemowi. Jemu wprawdzie żadnej szkody nie wyrządzały, gdyż był przy nich za blisko, raziły jednak dalej stojących, a jedna z tych kul działowych, odbijając się od ziemi, trafiła generała Henryka Kamińskiego i strzaskała mu obie nogi. Było to już po zachodzie słońca. Tymczasem Bem powtórnie obsypał Moskali kartaczami; wszystko, co żyło, uciekało przez most, lub rzucało się w wodę. Raz jeszcze odpowiedzieli Moskale ze swych dział na chybił trafił i na tem się bitwa skończyła*).

Był już wtedy dobry zmierzch, nie północ jednak, jak utrzymywano.

Generała Kamińskiego odniesiono do pobliskiej wsi Kruki. Przybył do niego powtórnie Wołoski, lekarz generalnego sztabu; domagaliśmy się od niego, żeby amputował obie nogi, byle tylko żył generał. Obejrzawszy ciało, oświadczył Wołoski lakonicznie, że nie ma ratunku; i rzeczywiście wkrótce potem skonał Kamiński. Jaroszyńskiemu darował na pamiątkę swe szlify generalskie, otrzymane w darze od ks. M. Radziwiłła, byłego naczelnego wodza, a do mnie rzekł tylko: „Myślałem, że naczelny wódz tęgi człowiek, ale niestety ciężko się zawiodłem!“ Powiedział mi to do ucha, a gdy potem inni pytali mię, co mi takiego szeptał, opowiedziałem im wszystko. Zapewne doniesiono o tem naczelnemu wodzowi, bo będąc za rzeczywiste zasługi przedstawionym do krzyża wojskowego, nie otrzymałem go wcale.

Naczelny wódz zupełnie stracił ducha po bitwie ostrołęckiej; jadąc z Prądzyńskim w nocy do Warszawy, powtarzał ciągle: »Przegraliśmy najhaniebniejszą z bitew!« Wcale jednak bitwa ta przegraną nie była; wszakże najlepiej uznał to car, skazując po niej Dybicza na śmierć przez otrucie; — rozumie się, że nie byłby tego uczynił za zwycięztwo. Straty, przez Moskali poniesione, były niezmierne; kto temu nie wierzy, niech zobaczy cerkiew pod Ostrołęką, przerobioną z kościoła bernadyńskiego, a przekona się, ile tam przy niej nagrobków poległych w tej bitwie generałów, oficerów sztabu i t. p.

Wojska nasze, po bitwie w najwyższym stopniu znużone, padły na drodze lub gdziekolwiek we wsi Krukach, o pół ćwierci mili od placu boju, dla wypoczynku. Gdyby jakie oddziały kozackie były się pokazały, z łatwością mogłyby nas zabrać do niewoli, ale im widocznie się nie śniło o czemś podobnem.

W nocy ordynans mój, Orłowski, z kilkoma ludźmi pochowali generała Kamińskiego, przy drodze koło parkanu: dla walecznego wszędzie miejsce zaszczytne. Placówki nasze zajmowały pole bitwy do 27. maja. O wschodzie słońca ściągnięto ostatni szwadron Mazurów pod kapitanem Łuszczewskim, wskutek polecenia, wydanego przez majora Miecznikowskiego, dowódcę tylnej straży.

Tak się skończyła owa słynna bitwa, stanowczo potępiająca naczelnego wodza. Armia z nienaruszoną artylerją i jazdą cofnęła się pod Modlin i Pragę. Żołnierze pościągali się do batalionów; po obliczeniu okazało się nierównie mniej strat, aniżeli mniemano, bo rannych, zabitych i zaginionych było do 2.000 ludzi i 216 oficerów. Inni podawali 300 i 13.000; wiadomość tę należy jednak położyć na karb chwilowego przygnębienia umysłów.

*) Podajemy tu szczegółowy opis tego epizodu bitwy ostrołęckiej, udzielony nam łaskawie przez jednego z świadków naocznych, Wgo Aleksandra Kociatkiewicza:

«Znanem jest, iż głośniejsza sława zdolności wojskowych jenerała Bema datuje się od bitwy pod Ostrołęką. Wykonał on tam szarżę zostającą pod jego dowództwem baterją artylerji konnej. Był to oryginalny i dziwnie do okoliczności zastosowany pomysł, nigdy przedtem nie praktykowany, a tem cenniejszy, że szarżą tą uratował on naszą armię. Niech mi będzie wolno, jako naocznemu świadkowi, opowiedzieć epizod ten bitwy ostrołęckiej».

Jak wiadomo, w każdej bitwie, przy najpomyślniejszym nawet obrocie rzeczy, dowodzący akcją winien na wszelki wypadek — pod grozą klęski — mieć obmyślaną i silnie w ręku trzymaną drogę odwrotową; to też zwykle bitwy tak się toczą, iż linja bojowa, po obu stronach tej drogi odwrotowej jest ustawioną. Pod Ostrołęką całkiem było inaczej; naszą drogą odwrotową był gościniec do Warszawy, równolegle do Narwi i wzdłuż tej rzeki idący, a nadto plac boju zamknięty był rzeczką Omulewem, prostopadle do Narwi wpadającym. Linja zaś bojowa, frontem do rzeki rozwinięta, ciągnęła się nie po obu bokach drogi odwrotowej, ale wzdłuż tej drogi, tak iż droga ta dzieliła stanowiska dwóch walczących armji. Położenie nasze było więc bardzo niebezpieczne, bo gdyby Dybicz był przełamał nasze prawe skrzydło, byłby opanował naszą drogę odwrotową, a w takim wypadku cała armia nasza od Warszawy byłaby odciętą, a wskutek tego prawdopodobnie i zniszczoną.

Dybicz zamierzył nam ten cios zadać. Po rozbiciu pozornem naszej piechoty — powiadam pozornem, bo rozsypane bataljony za pierwszą zasłoną lasową zatrzymały się, najporządniej się sformowały i przed wieczorem jeszcze można je było w ogień prowadzić — około godziny 4. po południu, ujrzeliśmy kolumny moskiewskie, przygotowujące się do uderzenia na nasze prawe skrzydło, a silny łańcuch tyraljerów atak ten poprzedzał. Przeciw tej nawale nieprzyjacielskiej, o ile wzrok mój sięgnął — znajdowałem się bowiem na prawem skrzydle — stało około 300 żołnierzy 3-go pułku piechoty liniowej, którzy w ogólnej rozsypce do lasu nie doszli, ale na placu boju się zatrzymawszy, sformowali reprezentacje trzech bataljonów, a dalej na prawo pułk 6-ty p. l. w większym niż pułk 3-ci komplecie. Pułki 3-ci i 6-ty zasłonione były słabym łańcuchem tyralierów. Była to chwila, w której pułkownik Bem przygotowywał sławną swą szarżę. Kazano piechocie (3. i 6. półkompaniom) celem osłabienia kolumn wzmocnić łańcuch tyralierski, tyralierom zaś rozkazano podsunąć się pod nieprzyjacielski łańcuch i nie wiele strzelając, uderzeniem na bagnety plac oczyścić — dodając ostrzeżenie, że artylerją mają asekurować. Żołnierz nie wiele ostrzeżenie to rozumiał, bo jeszcze w rozsypce tyralierskiej dział nigdy nie asekurował, ale atak na bagnety wykonał z niesłychanem męstwem i plac został oczyszczony. Wówczas zajmując pozycję pomiędzy 3-cim a 6-tym pułkiem, wysunęła się baterja konna w rozwiniętym froncie; szła ona plutonami, w odstępach plutonowych, a każdy żołnierz zaopatrzony był wiązką faszyny, którą przed sobą trzymał na koniu, miała bowiem baterja do przebycia smugę grzęską. Faszyna na tem błocie pod koła armat rzucona, ułatwiła przeprawę. Po przebyciu grzęzawicy baterja z miejsca kopnęła się marsz-marsz. Na odległość strzału zatrzymał się Nr. 1-szy, to jest 1-szy i 4-ty pluton i dał ognia, a wystrzał był sygnałem, na który w miejscu osadził konia i dał ognia Nr. 2-gi, to jest 2-gi i 5-ty pluton. Strzał Nr. 2-go zatrzymał w pędzie Nr. 3-ci, to jest 3-ci i 6-ty pluton, a Nr. 1-szy i 2-gi cwałowały już naprzód; znów strzał Nr. 3-go zatrzymał Nr. 1-szy, strzał Nr. 1-szego zatrzymał w pędzie Nr. 3-gi i tak ciągle podsuwając się i strzelając najprzód kulami, a później kartaczami, tak się pułkownik Bem do nieprzyjaciela zbliżył, iż nie będąc od kolumn ich jak o 150 kroków oddalonym, raził je kulami, a właściwie na wylot świdrował ich kolumny rdzennymi strzałami; Moskale zgłupieli i zamiast atakowania nas, nad sam brzeg rzeki się cofnęli, a tyralierowie 3-go i 6-go pułku p. l. przeszli gościniec, otrzymali więc plac boju, stali się panami naszej drogi odwrotowej i przeprawy przez Omulew. Tym sposobem armja uratowaną została, a sławę tego czynu słusznie Bemowi przyznano. Cała szarża nie trwała dłużej nad minut 20, w ktorym to czasie baterja dała parę set strzałów. Szybkości tego działania nie opisuję, albowiem takową dokładnie przedstawiłem w broszurze mojej pod napisem: «Historja 3-go pułku piechoty liniowej podczas kampanji w r. 1831», niedawno drukiem ogłoszonej (we Lwowie 1879). Jak skuteczną zaś była ta szarża, dość będzie powiedzieć, iż zakończyła bitwę, tak zażarcie zaczętą o godzinie pół do piątej, poczem obie armje w zupełnym spoczynku 4 i pół godziny czekały zmroku, o godzinie 9-tej bowiem ściągnięto tyralierów naszych do kolumn, poczem wojsko nasze zajęcie gościńca i przeprawę przez Omulew rozpoczęło. To jeszcze dodać muszę, iż pułkownik Bem wielkie miał w tem ułatwienie, że Moskale na prawym brzegu rzeki ani jednego szwadronu kawalerji nie mieli. Na wypadek zaś pojawienia się kawalerji stał w pogotowiu 2-gi pułk ułanów. Przez cały ciąg szarży, Moskale straszny ogień działowy z za rzeki utrzymywali — piechota zaś ciągle sypała rotowym ogniem i od tego to ognia baterja wiele ludzi i koni utraciła, co jednak szybkości strzałów wcale nie przeszkadzało. Z ostatnim strzałem baterji pułkownika Bema, ogień na całej linji obustronnie ustał.»

Z cyklu „Moudrost otcovska“.

B. JABŁOŃSKIEGO.

65. Wiele ksiąg już w zapomnienie
Poszło, synu miły,
Bo się wszystkie od przyrody
Księgi oddaliły.

Nie wierz księgom — inna wiedzie
Do mądrości droga;
W księgach słyszysz głos człowieka,
W przyrodzie — głos Boga.

16. Z wszystkich kwiatów czerpie pszczoła
Na polu i w lesie;
Ale tylko czysty, zdrowy
Miód do ula niesie.

Taką mądrą pszczołą, synu,
Bądź przez całe życie,
Z kwiatów ducha, z kwiatów wszystkich
Wiedzę czerp obficie.

A twe serce niechaj będzie
Ulem pszczoły owej:
W jego ściany przyjmuj tylko
Miód czysty i zdrowy.

Z czeskiego tłumaczył
Czesław.

Kronika Tygodniowa.

Cały tydzień ubiegły, żyliśmy urzędowo. Przygotowania do wyjazdu delegatów na uroczystości zaślubin Następcy Tronu, wykończanie kasetki na album mające się ofiarować, oglądanie tej kasetki, która prawdziwy zaszczyt przynosi naszym artystom, potem illuminacja, nabożeństwa, pochody muzyk, obiad urzędowy — a wreszcie sprzątanie tych urządzeń — zajęły przez cały tydzień uwagę publiczną. Teatr, cyrk i zwykłe przechadzki zepchnięte zostały na drugie miejsce, a nawet dwie, czy też trzy uczty dla p. Rapackiego, przeszły bez należytego rozgłosu. Ciekawi jesteśmy, czy też „Kościuszko pod Racławicami", którego przedstawienie p. Miłaszewski przygotowuje, potrafi rozgrzać nieco apatyczne usposobienie Lwowian. W Krakowie, teatr przez dwanaście z rzędu przedstawień tej sztuki szczelnie był zapełniony, sądzimy przeto, że Lwów rywalizujący dotąd z przedwawelskim grodem, na złość temu ostatniemu podwoi swoje usiłowania i zamęczy artystów ciągłem powtarzaniem tego widowiska.

* * *

Nareszcie Koło artystyczno literackie w Krakowie zdobyło się na wydanie albumu dla Zagrzebia. Ocenienie jego wartości artystycznej i literackiej, zostawiamy na później, choć idąc za przykładem „Czasu", który o albumie lwowskim, ledwie raczył wspomnieć — moglibyśmy Krakowowi oddać piękne za nadobne. Lecz znowu tak bardzo nie trzeba mieć za złe szanownemu staruszkowi krakowskiemu jego obojętności dla nas — biedaczysko zapomina się coraz bardziej. Podług „Czasu" jeszcze hr. Ludwik Wodzicki jest marszałkiem krajowym i wyjeżdża ze Lwowa na uroczystość zaślubin Arcyksięcia Rudolfa. Także podług doniesień tego szanownego organu, we Włoszech panuje ciągle jeszcze Wiktor Emanuel i przysyła order Anuncjaty dla Następcy Tronu do Wiednia — cóż więc dziwnego, że wiele rzeczy bliżej nas obchodzących przeoczy.

* * *

Nasze Koło literackie wysyła z adresem do Czechów delegata swego, p. Włodzimierza Zagórskiego, na obchód uroczystego otwarcia teatru czeskiego w Pradze. Ten dowód nowy życzliwości pobratymczej, mamy nadzieję powinien przekonać Czechów, że na serjo pragniemy utrzymać stosunki przyjaźni z nimi, a zatem, że przy traktowaniu w Radzie państwa spraw galicyjskich, znajdziemy w nich taką samą życzliwość i poparcie, jakich oni od nas na każdym kroku doznają. Dotąd, o ile wiemy i słyszymy, nie bardzo ta mniemana zgoda była z ich strony praktykowaną — czyżby nas tylko zobowiązywała?

* * *

W pierwszych dniach b. m. zmarła nagle w Paryżu, Henryka Lewenhard, z domu Pustowojtów, żona doktora medycyny, znana dobrze ze swego udziału i poświęcenia w ostatniem naszem powstaniu.

Córka jenerała moskiewskiego, urodzona z matki Polki, nie poczuwając się ani do moskiewszczyzny ani do prawosławnego wyznania, do którego według brutalnego prawa należeć musiała, brała czynny udział w manifestacjach kościelnych w Lublinie, za co została aresztowaną i skazaną do zakonnego klasztoru w głębi Moskwy na pokutę; w drodze jednak, organizacja narodowa ułatwiła jej ucieczkę.

W chwili powstania, znalazła się w Krakowie. Patrjotyczne uczucie pociągnęło ją do obozu, gdzie z godnością i wytrwałością znosiła trudy żołnierskie, a po upadku Langiewicza, aresztowana w Galicji, została internowaną w Czechach. Następnie udała się na emigrację do Paryża i tam, niosąc pomoc i opiekę biedniejszym współrodakom, pozyskała szacunek szerokich kół polskiego wychodztwa.

W pierwszych latach zatrudniała się wyrobem kwiatów sztucznych, gdy jednak praca ta podkopywała jej zdrowie, zwinęła zakład i poświęciła się muzyce, w której dawniej już była biegłą; ukończyła konserwatorjum muzyczne paryskie i aż do wyjścia za mąż udzielała lekcyj na fortepianie. Ś. p. Henryka Pustowojtów pozostawiła czworo własnych dzieci i dwie sieroty, które przyjęła na opiekę po owdowieniu zasłużonego krajowi p. Retla, jednego z ostatnich Belwederczyków.

Ciało tej zacnej patrjotki Polki złożone zostało na cmentarzu Montparnasse, dokąd odprowadzili je wszyscy Polacy znajdujący się w owej chwili w Paryżu.

Nasza pani i sługa.

Gdzie tylko zejdą się dobre gosposie, usłyszeć można głośne narzekania i lamentacje na sługi. „A jakie to niewdzięczne! Bez przywiązania! bez serca! Proszę cię, dałam jej chustkę na święta, kupiłam wstążkę do korali, a ona mnie okrada na każdym kroku, a jak obgaduje, plotki na mój dom roznosi. O, nie warto im okazywać serca! To złodzieje, wrogi nasze najgorsze!"

Te i tym podobne rozmowy słyszeć można bardzo często.

Z drugiej strony, gdy tylko dwie kumoszki z koszykami na ręku spotkają się w mieście tête à tête, rozpowiadają sobie z drastycznemi wykrzyknikami wzajemnie o swoich paniach i nieraz ciekawy mógłby usłyszeć na ulicy głośno opowiadane najdrobniejsze szczegóły z życia rodzinnego, nie z najlepszej przedstawione strony. Złość na panie jest u nich widoczną. Słyszałam raz jak jedna kucharka z radośnem błyskiem w oku opowiadała pokojowej, że gdy wśród tłumu targowego spotka jaką panią, to jej potężnie koszem w bok lub w plecy zaaplikuje — chcąc tym sposobem choć trochę popuścić wodze tajemnej swej nienawiści.

Z jednej strony głośna, otwarta pogarda, z drugiej głucha, skryta nienawiść.

Smutne to stosunki.

Panie i służące w tak ścisłej żyją ze sobą styczności jak może żadne najbliższe znajome — są one ciągle razem i wzajemnie siebie potrzebują.

Pani daje słudze zarobek — sługa pani swą pracę, stosunek zatem jest prosty. Chodzi tylko o to, gdzie leży przyczyna wzajemnej nieżyczliwości.

Sądzę, że z jednej i z drugiej strony.

Mało dzisiaj jest sług, któreby ściśle wykonywały swe obowiązki, były uczciwe, moralne, pracowite — a najmniej takich, któreby kochały swe panie i przywiązywały się do domu — ale i mało jest pań, któreby dbały o jakie takie wygody dla sług, nie wyzyskiwały ich siły, nie obarczały zbytnią pracą, nie pogardzały niemi, zrozumiały, że i one mają prawo do ludzkiego postępowania — a jeszcze mniej takich, któreby je kochały, a przynajmniej współczucie miały dla nich.

Sługi prywatne należą prawie do najwięcej zaniedbanej klasy społeczeństwa. Falanga ich tworzy się z samych takich nieszczęśliwych, które albo w dzieciństwie utracili rodziców, albo rodzice nie mogąc przytulić ich do ogniska rodzinnego, w dzieciństwie jeszcze w świat je puszczają, aby na własny chleb zarobili. Dziewczyna czy chłopiec, zaczynają od najpospolitszych zajęć podkuchennych lub podstajennych— poszturkiwane, popychane przez wszystkich, brną jakoś przez życie, bez najmniejszego kierownictwa i opieki. Wśród najrozmaitszych ludzi i okoliczności wyrabiają sobie one pewne praktyczne, ale niezbyt moralne zasady, a głównem ich pragnieniem tyle nazbierać pieniędzy, ażeby mogli porzucić ten ciężki zarobek — albo przynajmniej dzieci swe zabezpieczyć od podobnego losu. Dzisiaj, gdy oświata jest ogólniejszą i przystępniejszą, każdy stróż, lokaj, kucharka, ostatni swój grosz w pocie czoła zapracowany oddaje, aby dziecko nie potrzebowało służyć prywatnie. Z tego wypływa, że w przyszłości coraz mniej będziemy mieli dobrych sług.

I panie od tych ludzi wymagają uczciwości nieskazitelnej, poczucia obowiązku, pracowitości, pilności, zręczności, a wreszcie miłości, wdzięczności, troskliwości dla swych dzieci stokroć większej niż one, własne matki, mają. Widziałam raz, jak młoda matka cały dzień prawie nie zajrzała do dziecka oddanego słudze — a gdy wieczorem po wizytach wróciła i spostrzegła, że służąca na chwilkę się oddaliła i dziecię wózek rozbiło, natychmiast jej służbę wymówiła.

Tak dalece zaślepione jesteśmy w sobie i wymagamy tysiącznych zalet od sług, których same wcale a wcale nie posiadamy, mimo naszego wysokiego wykształcenia i pieczołowitego wychowania. I kto wie czy sługa przykuta koniecznością i niedostatkiem nie wypełnia lepiej i ściślej obowiązku, (którego znaczenia nawet nie rozumie) niż jej pani, która na pamięć zna wszelkie piękne teorje i szumne frazesy o wzniosłych teorjach i ideach.

Gdy panie będą lepsze, i sługi się poprawią.

Tak — tylko w ręku pań, jako u osób wykształconych prawdziwie, spoczywa środek do naprawienia złego. Zajmijmy się więcej domem a mniej światem — postarajmy zbliżyć się do sług, wejść w ich położenie, zyskać zaufanie dobrocią i pobłażliwością, wpływać słowem serdecznem na ich umoralnienie i uszlachetnienie.

«Des Menschen Würde ist in eure Hand gegeben,
Mit euch sinkt sie, mit euch wird sie sich heben.»

Starajmy się wesprzeć je, gdy mają jakie stosunki rodzinne, czy to małe dziecię, czy matkę staruszkę, w ten sposób najłatwiejsza do ich serca droga. Każdy człowiek serce sercem odczuwa, a tajemny wpływ jego uroku, najzatwardzialsze zdobywa umysły, uszlachetnia je,

podnosi i ku dobremu prowadzi. Przedewszystkiem jednak powinny panie zająć się losem swych sług, powinny dążyć do tego, aby sługa, która wiernie, uczciwie służyła, starość miała zapewnioną. W ten sposób będą one miały zachętę, bodźca do wytrwania, do poprawy. Panie, jako najwięcej korzystające z dobrych sług, które im pomagają, wyręczają je w ich obowiązkach gospodyni czy to w kuchni, czy w pokojach, czy wreszcie w czuwaniu nad dziećmi, powinny pierwsze podać wniosek, aby każda rodzina, stosownie do ilości sług, opłacała roczniе pewien podatek; powstałby w ten sposób fundusz, któryby zapewnił los tej klasy roboczej, któryby pracowitej, wiernej, uczciwej słudze zapewnił utrzymanie na starość — aby u schyłku życia nie musiała wyciągać ręki do miłosiernych ludzi lub ginąć pod płotem. Nie piękna chustka, nie droga wstążka wiąże serca, ale z szlachetnego serca dobre wypływające uczynki.

Niech panie przedłożą ten projekt swym mężom, ojcom lub synom, a ręczę, że mężczyźni chętnie wezmą się do wprowadzenia w życie naszego projektu.

Wiemy, że najrozumniejsi, najrozważniejsi mężczyźni za łzę smutku lub uśmiech wesela kobiety, największe, rujnujące nieraz sumy wydadzą, gdy idzie o kapelusze paryskie lub wytworne stroje, czyżby mogli być nieczuli wtedy, gdy smutek lub radość z szlachetniejszego wypływa źródła, a wydatek w tysiącznej części mniejszy?

Kobieta w cichem, domowem kółku, daleko więcej zdziałać może swoim wpływem, niż nie jeden mężczyzna świetnemi swemi teorjami ekonomiczno-społecznemi na świecie.

Kobieta i mężczyzna w społeczeństwie, to jak serce i mózg w organizmie.

Mężczyzna rozumem działa na zewnątrz, kobieta sercem na wewnątrz.

Czyż mózg może dobrze funkcjonować, gdy tętno serca jest chorowite, słabe, nieprawidłowe?

Serce rozprowadza żywotne soki w organizmie, odżywia wszelkie jego części, czyż sam mózg nie odczuwa ważności i potęgi tego organu, który nieznacznie, niewidocznie, a jednak tak potężnie wpływa na rozwój i zdrowie całego organizmu.

Społeczeństwo jest takim organizmem, a gdzie rozum i serce, mężczyzna i kobieta podadzą sobie dłonie, nie jedne chorobliwe objawy usuną się wcześnie i nie będziemy mieli w przyszłości tak strasznych w społeczeństwie konwulsyjnych wstrząśnień, do których jadowite zarody w cichości zapuszczają korzenie, a gdy epidemja zapanuje, chory pochłaniają organizm.

Marja L.

Arystokracja pieniężna

Kwestja żydowska wyrosła teraz w Niemczech na pierwszy plan.

Ktoby chciał jednak o tej kwestji sądzić z namiętnych a jednostronnych wystąpień pisarzów lub publicystów niemieckich z tego lub owego obozu, ten sam już mimowolnie popełniłby błąd stronności.

Sprawa ta należy bowiem do takich, na które trzeba się zapatrywać z zupełnie oderwanego stanowiska; jest ona ważna i poważna społecznie, a z rozwijaniem się i wzrastaniem w siłę żywiołów w nią się wikłających coraz większej wagi nabiera.

U nas także należy ona do bardzo żywotnych społecznych zadań, których rozwiązanie dalekie, choć przygotowujące się powoli, może przeważny wpływ wywrzeć na rozwój społeczeństwa naszego w ujemnym i dodatnim kierunku.

Nie od rzeczy więc będzie powtórzyć tu artykuł, który spotkaliśmy w jednym z ostatnich numerów paryskiego *Figara.*

Autor tego artykułu, kryjący się pod pseudonimem, niejednokrotnie już przy innych sposobnościach dowiódł trzeźwości sądu i bezstronności i znajomości przedmiotu, o którym pisze, chętnie więc zdania, przez niego wygłoszone, przytaczamy, zastrzegając się tylko przeciwko niektórym z nich, głównie z powodu różnicy społecznej, jaka pomiędzy nami a Francją istnieje.

A teraz dajemy głos autorowi artykułu:

„Chcę tu mówić tylko wyłącznie o młodych salonach żydowskich...

Pieniądze wiele mogą, ale są rzeczy niedostępne dla nich; jednym z tych szkopułów, trudnych do przełamania, jest dla posiadacza ich utworzenie sobie i w około siebie przyzwoitych stosunków światowych.

Kobiety dobrego towarzystwa nie dają się tak zakupić, jak akcje kolei żelaznej tureckiej lub bulgarskiej...

Daleko trudniej jest postarać się o księżniczki, aniżeli o fotele najpierwszej mody, na których one siadać mają.

I trzeba pewnej znajomości rzeczy, ażeby wkraść się w łaskę Paryżanek, i umieć je zabawić, gdyż umieją one wszystko znieść oprócz nudów.

Ażeby dojść do tak pożądanego rezultatu, potrzeba niemałej zręczności, sporego zasobu taktu towarzyskiego, trzeba umieć wynajdywać rozmaite środki jednania sobie ludzi, nie szczędzić wydatków, a umieć przytem w samą porę rozporządzać temi wydatkami.

Daleko trudniej jest podobać się ludziom światowym, aniżeli zebrać zapas złota do kasy; salon izraelicki układa się cząsteczka po cząsteczce, powolutku, z oględnością i ostrożnością wszelką, i trzeba sporego czasu, ażeby to ciasto domowe wyrosło i przyrumieniło się należycie.

Pewien starozakonny rosyjski, który podobno zebrał miljony na dostawianiu podczas kampanji krymskiej wódki i mięsa wojskom cesarza wszechrosji, przybył do Paryża, będzie z dziesięć lat temu, pragnąc obrać sobie tutaj stałe zamieszkanie.

Nabab ów urządził dom bardzo świetnie i rozesłał zaproszenia, dołączając do każdego z nich jakiś kosztowny klejnocik w darze dla zaproszonej.

Ta nieokrzesana grzeczność źle bardzo była przyjęta i odjęła na długo innym ochotę naśladowania jej...

Ażeby utworzyć salon, potrzeba przedewszystkiem rozesłać, trochę na los, z jakie tysiąc zaproszeń; znajdzie się przecież sporo osób, rozporządzających swobodnie wieczorem.

Salony są wystawne, a kolacja... wyborna.

Ci, którzy widzieli salony i brali udział w kolacji, zdają o tem sprawę innym; przechodzi to z ust do ust, a cuda, które rozpowiadają o nowym miljonerze, znęcają wstydliwych i trwożnych; ten i ów powraca na zaproszenie i przyprowadza ze sobą kilku przyjaciół; — wogóle ludzie nie przywiązują znaczenia do tego pierwszego kroku.

Po tem zręcznem zarzuceniu sieci, finansowy baron albo hrabia (mniejsza o stopień tytułu, chociaż tytuł zawsze się przyda) robi się już trochę wybrednym.

Pożądanym gościem wówczas staje się jakiś jenerał, który ma córki na wydaniu; mniej więcej wszystkich gości przedstawia się temu dygnitarzowi, a zawsze z dodatkiem:

— Może pan zechcesz być panu jenerałowi przedstawionym?

Przyda się także wielce jakiś rozgłośny artysta, najczęściej malarz; niektóre nawet z takich salonów posiadają na własność *akademika*, a zawsze ze stosownem objaśnieniem:

— To jest pan***, członek akademji.

Już więc jest nieźle, ale będzie lepiej jeszcze...

Pomiędzy gośćmi znajdzie się zawsze kilku ludzi z wielkiego świata, uprawiających finansowe interesa, oraz kilku panków na wpół zrujnowanych.

Gospodarz prosi tych ichmościów, ażeby przejrzeli listę zaproszeń, złe języki nawet mówią, że znajdują się i tacy, którzy są płatni za to; ci więc sprowadzają swoje najbliższe znajomości. Ten lub ów daje się namówić, mężczyźni naprzód, kobiety później. Przykład jest zaraźliwy.

Chodzą nawet plotki, że zawiązują się czasem miłosne stosunki pomiędzy modną młodzieżą a młodemi paniami bankierowemi; młody adorator w takim razie obowiązany jest ułatwić swojej uwielbianej wielkoświatowe stosunki.

Stanąwszy już na tym punkcie, pan baron nie opuszcza żadnej przyjaznej sposobności...

Trzeba kuć żelazo póki gorące, ponawiają się zaproszenia i mnożą się goście; nawzajem i on otrzymuje zaproszenia, zawiązuje nowe znajomości i niezmordowany jest w rzucaniu tu i ówdzie biletów wizytowych.

Wita się z wybranemi osobistościami na wyścigach i w salonie; hoduje starannie wszystkie kwiaty wykwintnego towarzystwa.

Zaczyna już być wówczas coraz trudniejszym w wyborze zaproszonych, giętki z początku, staje się obecnie sztywnym.

Cel osiągnięty, już się stało!

Ale ażeby to wszystko utrzymać, nie trzeba zasypiać gruszek w popiele; koncerta, deklamacje, kolacyjki, polowania, dobroczynność wreszcie w porę użyta, zawiązują i utrwalają stosunki.

Jak tu nie pójść posłuchać panny Lloyd, pana Wormsa z „komedji francuskiej,“ Coquelin'a starszego i młodszego, wiolonczelistę Delsarta, skrzypka Sivorego i wreszcie flecistę Talanela? Jak tu oprzeć się pokusie strzelania do cudzych bażantów — a przytem kolacja... Dla smakoszów, a sporo ich w dobrem towarzystwie, przynęta to nie lada.

A przytem jak to miło być dobroczynnym cudzym kosztem. Więc ten, który daje, podwójną korzyść zbiera, raz zadowolenie własne ze świadczonego miłosierdzia, a powtóre wdzięczność tych, na których wdzięczności mu zależy. Zaś jeżeli kwestowaliśmy u kogoś i otrzymaliśmy dar hojny, to nie możemy już nie przyznać się do znajomości ofiarodawcy.

Ale świat ma także swoje narowy. Mści

się on nieraz na tych, którzy wpływ na nim wywierają. Nie zbyt chętnie on znosi te wszystkie poniżenia; wróciwszy do domu, gniewa się i lżej mu jakoś na sercu, jeżeli popuścił cugle obmowie.

Ma on bystry wzrok i wszelki brak taktu wytyka z zadowoloną surowością i szorstkością zazdrośną. Obmowom jego nie brak goryczy. Sądzimy ludzi, u których przed chwilą znajdowaliśmy się w salonie, na równi nieraz z tymi, którzy przy nas spożywają obiad w restauracji.

Nie jest to rzeczą arcyszlachetną, ale w tak zwanym wielkim świecie zwykle tak się zdarza.

Tym amfitrjonom bogatym nic się nie przepuszcza...

Surowo się potępia młodą pannę bankierównę, jeżeli ukazawszy się na wieczorze w sukni z białego atlasu, z poprzepinanemi na niej bukiecikami z róż świeżych, zrobi sama uwagę, że ta suknia na raz tylko służyć może — potępia się również poważną panią baronowę, która przystroiwszy się w ogromny brylantowy garnitur, rozpowiada gościom ile te brylanty kosztują, nie daruje się i panu finansiście, jeżeli w lutym kazawszy zastawić stoły świeżemi jagodami do kolacji, zrobi uwagę, że „o te jagody bardzo jest trudno obecnie“...

Ci i owi wówczas powiedzą, że salon ów trąci jakoś niemczyzną i pojawi się zaraz anegdota o pewnym w Berlinie bankierze starozakonnym, który przyjmując u siebie księcia Bismarcka, walał koronkowe mankiety sosem, chcąc księciu sam podawać potrawy...

Świat udziela swe łaski pod miarą i wagą.

Do bogatego finansisty jedzie się na polowanie, ale nie nocuje się w jego zamku. Z wielką trudnością przyprowadza się panienki na jego przyjęcia. Rzadko bardzo pokazuje się razem z nim w loży w teatrze...

Jeżeli się ma uczęszczać do jego salonu, to trzeba koniecznie, ażeby tam było więcej ludzi z *naszego* towarzystwa.

I nareszcie koryfeusze światowi z uciechą rozpowiadają sobie od ucha do ucha, że kiedy pan bankier ma bal wydawać, to pewna krewna musi koniecznie jechać na kilka dni do Niemiec... bo jej się wstydzi.

Więc nawet za ustępstwa, zrobione dobremu towarzystwu, nikt nie jest wdzięcznym — owszem szydzi się z nich.

Na polowaniu jakiś chłop odnosi sarnę zranioną.

— Daj mu franka na piwo — mówi baron do swojego nadwornego strzelca.

— Ale to człowiek wcale nie ubogi, on wolałby królika.

— Wierzę temu — odpowiada baron — bo królik wart jest jak raz dwa franki, zrób tak jak ci kazałem.

Tenże sam pan baron, przesyłając przed kilku dniami zaproszenie do pewnej księżnej, dołączył do niego tysiąc sztuk złota na cel dobroczynny.

Tego to rodzaju uchybienia dobremu smakowi, rozgłaszane przez zazdrosne osoby, stają się celem pośmiewiska ludzi dobrze wychowanych.

Trudno wypowiedzieć, jak godnem jest podnieść postępowanie żydów, którzy umieją przezwyciężyć wszystkie te trudności, i wejść przebojem do towarzystwa pomimo widocznego wstrętu, jaki ono zrazu do nich okazuje! Ileż do tego użyć oni muszą zręczności i wytrwałości. Mają oni pewien zapas dumy, która umie jednak upokarzać się w porę; jedyny wyrzut jaki można im uczynić, to brak rycerskości, chociaż widzieliśmy wielu z nich wielce uprzejmych i odważnych wielce.

Więc cokolwiek można mieć przeciwko nim, to wszakże pewna, iż czują swoją godność i szczycą się szlachectwem uważanem przez nich za najstarożytniejsze w świecie. Pod tym względem w mniemaniu własnem przyznają oni sobie wyższość nad innemi szlachetnemi rodami. Mięszają się oni ze społeczeństwami, wśród których żyją, nie zlewając się z niemi jednakże.

Żydzi dumni są ze starożytności swojego rodu i z przechowanych dawnych tradycyj. Tenże sam rodzaj architektury widnieje w synagodze przy ulicy Victoire, jak i w Luwrze w grobowcach żydowskich pana de Sauley. Żyją oni w sobie; w najbardziej nawet wrogiem dla nich kółku nie kryją się ze swojemi przekonaniami religijnemi.

Obelgi czuć się dają tylko wówczas, kiedy równi nam obrzucają nas niemi, dla tego żyd, czując się w wewnętrznem przekonaniu wyższym od tych co go otaczają, zwraca pozornie mało uwagi na obelgi; rzadko kiedy zaciągają się w służbę u chrześcijan, nie ma prawie pomiędzy nimi nosiwodów ani czyścicieli nocnych.

Rasyn powiedział:

„Czyliż istniał lud kiedy, jarzmu powolniejszy?“

W tym wierszu Rasyn popełnił wielki błąd historyczny. Żydzi zawsze prawie spiskowali przeciwko swoim zwycięzcom i ciemiężcom. I zwyciężali ich zawsze w pewnej mierze, żyli bowiem dalej, mnożyli się i starczyli sobie.

Disraeli twierdzi:

„Świat w tych czasach doszedł do przekonania, że Żydów niepodobna jest wyplenić“.

Trudno sprzeczać się o to z lordem izraelitą; owszem ludzie dobrze badający tę sprawę, twierdzą, że królowanie żydów jest bliskie.

Duży udział, który fortuna prywatna zajmuje w fortunie publicznej, ułatwia ich wydobywanie się na wierzch. Organizacja ich wybornie urządzona do korzystania z ruchu pieniężnego, zapewni im kiedyś panowanie nad nami. Przyzwyczajenie do prześladowań wszelkiego rodzaju, które w przeciągu wieków wytrwali, dało im umiejętność przechowywania wartości pieniężnych, dających się łacno ukryć.

A nową jeszcze siłę do tego nadaje im indyferentyzm polityczny, pomimo wdzięczności, jaką czują dla wielkiej rewolucji francuskiej i pomimo osobistych nieprzyjaźni. Na całej kuli ziemskiej są oni połączeni ścisłemi węzłami rodowego pokrewieństwa. Niedawno przecież Żydzi, mieszkający w Chinach, otrzymali znaczne zasiłki pieniężne z Europy, a w synagogach bułgarskich odprawiano żałobne nabożeństwa za p. Cremieux...

Nie można sobie lekceważyć tej inteligentnej rasy...

Rzeczą jest niezawodną, że świat coraz bardziej się zajmuje udziałem, jaki żydzi finansiści pragną wziąć w jego rozrywkach i nowym zupełnie żywiołem, który oni wnoszą w towarzystwo.

A społeczeństwo choruje w tej chwili na dziwny stan niemocy...

Nie rozumie ono samo siebie; lęka się tego zbliżenia, a widzi jednak, że jest koniecznem. Samo dopomaga do wywiązania się tego nowego w swoim składzie żywiołu i dziwi się potem, iż tak szybko wybujał w górę. Nie jest to jeszcze zlanie się, ale jest już zamiana.

W każdym razie to nowość...

Z początku przyjmowano grzeczności w dosyć złej wierze, zdawało się, że będzie się można obejść bez wywzajemnienia się. Spostrzeżono się wkrótce, że dano więcej nawet, aniżeli tamta strona żądała. Ztąd powstała wyrozumiałość niezadowolona, pewna nieufność i obawa, że się będzie wywiedzionym w pole, a nad tym machinalnym oporem górował ślepy jakiś pociąg, któremu niepodobna było oprzeć się.

Jeden z dwóch braci Sternów powiedział:

— Nie wiem doprawdy, jakim sposobem za lat dwadzieścia pięć chrześcijanie żyć jeszcze potrafią.

Możnaby śmiało dodać:

— I jakim sposobem potrafią się bawić?“

***

DOPEŁNIENIA do WYKAZU PSEUDONYMÓW
używanych przez autorów polskich.

Aliquis — Czapelski Tadeusz.
Alphonse del Ambra — Amborski Jan.
Bicz Faustyn — Trylski Aleks.
Bocian z nad Horynia — Lewiński Józef.
Bogdanowicz M. — Jeske — Choiński T.
Bolesław z nad Dniepru — Liwski J.
Bończa Teodor — Rudkowski Teodor.
Borzywoj — Korotyński Wincenty.
Brona Mścisław — Zieliński Wład. K.
Burtynikas Wład. — Rozrażewski Wład.
Chrząszcz — Heffter Wład.
Czesław — Jankowski C.
b. członek Rady Stanu Królestwa Polskiego — Krzywicki Kazimierz.
Deuszek — Czapelski Tad.
Dobrzepolska Wanda — Puffke Emma.
Drwęca — Radzimiński Z. L.
Em-Ka — Kamińska Marja.
Franek Mazur — Martynowski F. K.
Franek z Piotrkowa — Martynowski F. K.
Graba Bogumił — Danielewski J.
Gryf Roman — Bykowski Jaksa Piotr.
Grzymała Kazim. — Grudziński Stan.
Grzywacz — Umieniecki Adam.
Gulbi — Szydłowski Ignacy.
Gurcho — Grzymała Fran.
Gwiaździc — Brykczyński Ant. ks.
Hodi J. T. — Tokarzewicz.
Ignotus — Chłędowski Kazim.
Janina — Swierzawska Joanna.
Janina Kazim. — Kaszewski Kazim.
Jaskółka — Kantecki Klemens.
Jastrząb — Zeitheim Jadwiga.
Junius — Zagórski Włodzimierz.
Kamerton — Rapaport Zenon.
Karmazyn — Martynowski F. K.
Karol z Kalinówki — Sienkiewicz Karol.
Kij St. — Kijeński Stanisław.
Komar — Zieliński Wł. K.
Korczak Józef — Łuszczewski Wacław.
Lasota — Wegner Stan.
Leliwa Stan. — Adamowicz Alex.
Major — Noskowski Wład.
Minor — Sarnecki Zygm.

Mortuus — Ochorowicz Jul.
Mośko Jankele — Niemcewicz J. U.
Nehemar — Rzewuska Konstancja hr.
Nemo — Lubowski Edward.
Nie-ja — Martynowski F. K.
Perkunas — Szymkiewicz Jakób dr.
Prawdzic Jerzy — Noskowski Wład.
Pszczółka Zenon — Rojek Zenon.
Przerowa Seweryn — Jarochowski Kaz.
Quis — Gawalewicz Marjan.
Radost — Sarnecki Zyg.
Sęp — Maleszewski Wład.
Sfinx — Skimborowicz Hipolit.
Skalski Wład. — Rembertowski J. N.
Ślepowron Wacław — Sarnecki Zyg.
Stefan Anastazy — Dąbrowski Stefan.
Sulima Onufry — Popiel Hipolit.
Ta — Cza — Czapelski Tad.
Talis qualis — Lubowski Edw.
Tarcza Teofil — Aspis Bogumił.
Ułan z pod Książa — Kropiwnicki Józef.
Uriela — Puffke Gabrjela.
Waligóra — Przyborowski Walery.
Władysław z Kalwarji Zebrzydowskiej — Rojek Zenon.
Władysław z Zieliny — Zieliński Wład.
Włostowicki — Amborski Jan.
Wojtuś — Motty Marceli.
Zaburzyński Tad. — Komar Tadeusz.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Projekt nowej procedury sądowej*, który według wszelkiego prawdopodobieństwa tym razem przez Radę Państwa będzie uchwalonym, znajdą prawnicy nasi dokładnie streszczony w „Przeglądzie sądowym i administracyjnym." Pismo to rozpoczęło w Nr. 19 pogląd na Zasady i treść tego projektu pióra prof. dr. Augusta Balasitsa. Ze względu na dążność projektu, redakcja tego pisma ogłosiła wyjątkową prenumeratę, począwszy od tego numeru, w którym artykuły te się rozpoczną.

*** W Bielsku, na Szlązku, nakładem p. Władysława Wacława Lecha a pod redakcją p. Leopolda Bytomskiego, rozpoczęła wychodzić „Kronika Słowiańska", pismo dwutygodniowe, poświęcone sprawom społecznym, gospodarczym, naukowym i politycznym, tudzież literaturze i sztuce w ogóle, ze szczególną uwagą na narody Słowiańskie.

*** Pan Zygmunt Jaroszewski, dotychczasowy wydawca i redaktor czasopisma „Gospodyni wiejska", otrzymał koncesję na wydawanie pisma illustrowanego, poświęconego gospodarstwu domowemu pod tytułem „Gospodyni miejska i wiejska".

Zmiana tytułu pociągnie za sobą odpowiednie rozszerzenie treści pisma, którego potrzeby i pożyteczności dowodzi dotychczasowa praca redakcji w tym kierunku.

*** Mickiewicz o Szopenie.

„Echo Muzyczne" przytacza następujące wyrażenie się Adama o Szopenie:

„Oto on! najuciesznieisza figura, jaką znałem w świecie; talent Garrycka, dowcip warszawsko-francuski.

„I jedno mnie tylko w nim nieprzyjemnie uderzało, to zabawianie swoją osobą figurek salonowych, z których żartował i miał rację...

„Co to o nim teraz za romanse piszą i nie gadają! Gdyby mu je kto za życia przeczytał, otóż to by wystrychnął ze siebie karykaturę podług rysunku tych melomanów z przewróconem melancholicznie okiem!

„Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała, szlochała, a dusza ojca Francuza śmiała się na całe gardło i... to był Szopen".

*** Z zakładu drzeworytniczo-artystycznego p. Bronisława Puca wyszła obecnie udatna reprodukcja obrazu Makarta „Wjazd Karola V. do Antwerpji".

*** Pierwszą nagrodę na konkursie na plan parku w Wilnie, po pięciogodzinnych rozprawach, otrzymał p. Rutkowski, ogrodnik m. Wilna, drugą p. Mieczysław Kamieński, współpracownik „Ogrodnika polskiego".

*** Spółka akcyjna teatru polskiego w Poznaniu, podpisała umowę z p. K. Doroszyńskim o prowadzenie przez następnych lat trzy tamtejszej sceny.

*** W Paryżu odbył się kongres „ligi nauczania". Na zebraniu tem uchwalono utworzenie związku rozmaitych grup zajmujących się sprawami szkolnemi pod nazwą „francuskiej ligi nauczania". Wybrano komisję do wypracowania statutów.

*** W Paryżu weszły w zwyczaj przyjęcia popołudniowe, na których zbiera się najdystygowańsze towarzystwo, zajmujące się odczytywaniem nowych utworów jeszcze nie drukowanych.

Lektorami zwykle są sami autorowie...

Tamże otwarto nowy rodzaj wystawy obrazów z ośmiu premjami, które najlepszym pracom przyznane będą.

Publiczność sama sądzi, wrzucając przy wyjściu kartki z nazwiskami wybranych!

Nowość ta bardzo się podobała i publiczność tłumnie schodzi się na ową wystawę, płacąc dosyć wysoką cenę za bilety wejścia...

*** „Rosa i mgła". W pracy swojej nad rosą i śniegiem, pomieszczonej w *Zeitschrift für Meteorologie*, p. Dinnes przywodzi doświadczenia swoje nad ilością rosy, zbieranej przy pomocy szkiełek od zegarka na rozmaitych przedmiotach podczas nocy i ocenia roczne tworzenie się jej na mniej więcej 35 milimetrów (na trawce 26 milimetrów); najwyżej 38. mm.

Mgła poranna wzdłuż koryta rzeki powstaje, jeżeli woda cieplejsza jest od powietrza nad nią się unoszącego. Parowanie wtedy odbywa się szybciej niż rozproszenie pary — z tego powodu ostatnia w mgłę się zagęszcza. Mgła wieczorowa na wilgotnych nizkich łąkach ztąd pochodzi, że powierzchnia trawy oziębiona przez promieniowanie studzi niższe warstwy powietrza i skrapla parę ich wodną. Wymiary delikatnych kropelek rosy, p. Dinnes ocenia na 0.001 mm. średnicy, kiedy najdrobniejsze kropelki deszczu mają średnicę od 0·3 do 0·33 mm. Cząsteczki mgły bywają różnej średnicy od 0 016 do 0.127 mm.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Dowiadujemy się, że w Paryżu powstaje wielki dom bankierski połączonemi siłami hr. Karola Zamojskiego i Władysława Kronenberga.

Utworzenie tak potężnej firmy, najrozleglejsze w Kongresówce posiadającej stosunki i ze sprawami jej wybornie powiadomionej, powinno zmienić prąd tamtejszych interesów pieniężnych i skierować go z wyzyskującego Berlina na Paryż.

*** *Gaz. Warsz.* dorachowała się liczby pralni publicznych w Warszawie.

Jest ich tam obecnie 240.

Przed laty kilkunastu ta gałęź przemysłu była w Warszawie osobliwością.

*** Biskup gandawski zamknął klasztor „Des bonnes oeuvres" w Renaix, gdzie niedawno dwudziestu dziewięciu braciszków klasztornych skazanych zostało za różne przestępstwa przez trybunał sądowy w Courtray.

*** Paryskie dzienniki donoszą, iż majątek zmarłego w tych dniach dziennikarza, Emila de Girardina, oceniają na 20 milionów franków.

*** *Journal des Débats* donosi telegraficznie, że roboty koło kanału Panamskiego są w pełnym biegu. Szeroka droga łączy już obydwa morza. Przedsięwzięte sondowania wykazują, iż wykonanie kanału będzie łatwem.

*** Rzymska *Opinione* donosi, iż projektowana tam wystawa światowa niezawodnie już dojdzie do skutku. Dla odpowiedniego przedłożenia rządowego zapewniona jest znaczna większość w parlamencie. We wszystkich włoskich miastach prowincjonalnych potworzyły się wydziały wystawowe. Istniejący w Rzymie komitet podzielił się na pięć podkomitetów, które mają rozdzielić pomiędzy siebie prace przygotowawcze.

*** W tych czasach w Grecji ścięto historyczne drzewo, a w szczególności cyprys, istniejący od epoki Pauzaniasza na 400 lat przed Chrystusem.

Drzewo to na 160 stóp ang. wysokie, ma w podstawie 10 stóp długości w przecięciu, objętość jego zaś wynosi 25 stóp.

Do cyprysu pomienionego mnóstwo stosuje się legend, związanych z przeszłością Peloponezu.

*** Z Warsz. pism dowiadujemy się, iż kupiec petersburgski, p. Marcks, zakłada w Warszawie przy ulicy Dobrej fabrykę sztucznego masła.

Pan M. jest właścicielem podobnej fabryki w Petersburgu, gdzie wyrabia t. z. *graisse alimentaire* (tłuszcz pożywny) i *beurre russe* (masło rosyjskie).

*** Stosunek ryb do wapna w wodzie. Prof. Weith w pracy swojej p. t. „Badania chemiczne wód szwajcarskich, ze względu na ich faunę" podaje bardzo wiele rozbiorów ilościowych wody z jezior, rzek, i strumieni szwajcarskich, ze względu na ilość wapna i materyj ziemnych zwykle w niej występujących. W badaniu tem ujawnił się nader ciekawy stosunek między obfitością ryb a ilością wapna w wodzie rozpuszczonego. Ostatecznie pokazało się, że w ogóle wśród rozmaitych ciał, znajdujących się w wodzie przy jednakowych zresztą innych warunkach, te wody, które zawierają w roztworze najwięcej węglanu wapna, najbardziej też obfitują w ryby. Autor fakt ten wyjaśnia w sposób następujący. Zwykły węglan wapna bardzo pospolitą jest skałą na dnie i na brzegach jezior, ale związek ten jest nierozpuszczalny, nie może więc dostawać się do wody. Jeżeli jednak ta ostatnia zawiera wiele kwasu węglowego, (który, jak wiadomo, wydziela się przy oddychaniu zwierząt), to kwas ten zamienia węglan w dwuwęglan łatwo rozpuszczalny. Z ilości tego ostatniego w wodzie, można przez dokładny rozbiór wnioskować o obfitości w niej ryb i na odwrót. Ryby z kolei wytwarzają znowu kwas węglany, który w obec wapna zawartego w wodzie, nie uchodzi w powietrze, ale pozostaje w niej rozpuszczony i podtrzymuje znowu życie roślinne. Rośliny wodne stanowią pożywienie dla ryb i umożliwiają ich istnienie. Tym sposobem życie roślinne i zwierzęce, których wzajemna zależność jest znana, podtrzymują się stale i wzajemnie przy pośrednictwie wapna. Doświadczenia na rozległą skalę mogłyby rozstrzygnąć, czy woda nieposiadająca dostatecznej ilości wapna i przez to uboga w życie organiczne, dałaby się przez odpowiednie dodanie węglanu wapna wprowadzić w warunki odpowiednie życiu zwierzęcemu i roślinnemu.

Treść: Spotkanie, opowiadanie Zygmunta de Amicis. Urywek ze wspomnień roku 1830—1831, przez Michała Modzelewskiego (dok.) Z cyklu «Moudrost otcovska» wiersz, B. Jabłońskiego, z czeskiego tłumaczył Czesław. Kronika tygodniowa. Nasza pani i sługa, przez Marję L. Arystokracja pieniężna. Pseudonymy. Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, arkusz 20.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.